

Potem plotkujemy o znajomych. Ot, takie zwykłe babskie spotkanie. A jednak zachowuję pewną formę. Nigdy do końca nie mówię jej, że mam kłopoty z partnerem, a już nigdy nie mówię jej prawdy o tym, jak wygląda. Po pierwsze, ma fatalny, pozbawiony cienia smaku gust, po drugie, kieruje się modą, która do niej kompletnie nie pasuje. Ale ponieważ nie chcę jej urazić, ani stracić przyjaciółki, nie informuję jej o tym wszystkim. Znowu zakładam maskę. Nie jestem szczerą z własną przyjaciółką. To jest dopiero przynębiające. Przecież przyjaźń z definicji jest szczerą i nieprzymuszona. A ja jeżdżę tam jak pod przyzmysem. Patrzę na zegarek i odliczam czas. Zdaję sobie sprawę, że może ona ma cięższą sytuację, bo przybrała już maskę żony i dlatego jej słucham. Staram się współczuć, radzić, a jednocześnie przytakuję, gdy mówi mi, że nie wiem jeszcze, co to znaczy mieć męża. Fakt. Nie wiem. Ale czemu tak bardzo przykleja mi się do twarzy ta maska? Przecież w przyjaźni nie powinno jej być do cholery. Mimo to jest, a wynika ze strachu. Ze strachu przed przyszłością. Z obawy, że i ja będę równie nieszczęśliwa jak ona, jeśli teraz, chociaż w tak prozaiczny sposób, jakim jest wysłuchanie, jej nie pomogę. Poza tym fakt, że nie mam męża sprawia, że łatwość utraty stałego partnera jest większa. Gdzie wic poszłabym, gdybym go straciła? Na pewno właśnie do przyjaciółki. Mimo to czuję się podle, że nasze relacje są takie nieszczęre.



Cóż mi pozostaje? Dobre maski, złe maski. Każda inna. Lecz każdą muszę nosić, nawet jeśli nie chcę. Już się ich nie pozbedę. A przecież tak wiele lat temu Gombrowicz apelował: „Tu maska maskę dręczy! Zrzućcie maski! Zwykłymi stać się ludźmi!”. Gdyby to jednak było takie proste. Nie zrzuć swych masek, nie wyrzeknę się nawet tych, których nienawidzę. Uparcie będę je nosić, zdierać, zmieniać, bo chyba jestem jak ta dziewczyna, o której śpiewał Edward Stachura: *Życie to jest teatr; mówisz ciągle, opowiadasz;/ Maski coraz inne, coraz mylnie się zakłada;/ Wszystko to zabawa, wszystko to jest jedna gra./ Przy otwartych i zamkniętych drzwiach./ To jest gra.*



Mimimii

MONIKA KORZENIEWSKA

Pamiętam, jakby to było wczoraj, gdy szłam – małe dziecko – podziemnym tunelem na dworzec autobusowy, z mamą za rękę. Było ciemno i mroźno, jak to w zimowy wieczór. Droga na przystanek wydłużała się w nieskończoność, a cel podróży z każdym krokiem zamiast się przybliżyć – był coraz odleglejszy. Dryfując między szarym, jednolitym tłumem postaci ciągnięta przez mamę niczym mała łódka przez holownik, zaczęłam popadać w stan dziecięcego znużenia, które w moim przypadku objawiało się nasilonym marudzeniem, a finalnie skrajną apatią. Wszystko jednak zmieniło się w ułamku sekundy, gdy na horyzoncie pojawił się On. Nagle moje oczy powiększyły się do niebotycznych rozmiarów, ręka z wyprostowanym palcem wskazującym mimowolnie powędrowała ku górze, a z ust wyrwało się: „Mamo, patrz, Murzyn!”

Niestety, moja ekscytacja tym niesamowitym widokiem równie szybko jak rozbłysła, została zduszona zimnym, karcącym spojrzeniem mojej matki. Zdezorientowana, szukałam wzrokiem poparcia wśród otaczających przechodniów, wszak ktoś oprócz mnie musiał Go zauważyć. Na ich twarzach malowała się jednak tylko chłodna obojętność, lub kpiące uśmiechy. Zostałam szybko wchłonięta do autobusu i kolejne pół godziny drogi powrotnej do domu spędziłam niczym na kazaniu w kościele, słuchając kolejnych argumentów mojej mamy, która starała się wytłumaczyć mi, że pokazywanie palcem jest niegrzeczne, gdyż jest to taki sam człowiek i może mu się zrobić przykro. Ja jednak gotowałam się cała nie mogąc zrozumieć, czemu nikt nie widzi tego co ja i gryząc się w język, by nie wykrzyknąć: „Ale On wcale nie jest taki sam, jest czarny, jest inny!”. Dlaczego mama pociągnęła mnie w drugą stronę, dlaczego nie mogłam podejść, popatrzeć z bliska? Dotknąć Jego skóry, zapytać czy nie jest Mu zimno, przecież w Afryce nie ma zimy? Dowiedzieć się, czy ma przekłuty nos, w który może włożyć kość, i czy tańczył kiedyś w rytm dźwięku bębenków w spódniczce z trawy, jak widziałam w bajkach?

Moje rozgoryczenie sięgnęło szczytu, gdy uświadomiłam sobie, że mama mogła zaprzepaścić moją jedyną szansę na zadanie tych pytań, przecież wcześniej widziałam takich jak On tylko w telewizji, a do Afryki jest bardzo daleko.

Jako skrajnie rozpieszczone dziecko rzadko doznawałam karcenia przez rodziców, może dlatego incydent ten trwale zapisał się w mojej pamięci. Może dlatego dziś już nie pokazuję niczego palcem. Nie znaczy to jednak wcale, że będąc osobą dorosłą rozumiem więcej, niż jako 3-4 letnie dziecko, chyba przeciwnie. Tamtego zimowego wieczoru radykalna inność tego człowieka względem mojego codziennego życia i świata, w którym dane mi było żyć, nie budziła we mnie agresji czy lęku, lecz zwykłą dziecięcą ciekawość. Odrobinę podziwu i cufiorę tłumioną jedynie faktem, że nikt poza mną nie dostrzegał, iż tak „fajnie” jest zobaczyć kogoś niezwykłego.

Wkroczywszy w świat dorosłych doznałam niemałego szoku, kiedy okazało się, że świat ten nie jest zarezerwowany jedynie dla karcącego spojrzenia mojej mamy; co więcej, że inność wcale nie jest „fajna”, lecz bywa często niewygodnym tematem, złem koniecznym, lub plagą XXI wieku, którą należy jak najszybciej zwalczyć nie zadając pytań i nie tłumacząc czemu. Ku mojemu zdziwieniu, niektórzy ludzie chcieli ją zwalczać, nierzadko przy użyciu przemocy. Byłam w życiu świadkiem scen, które można uznać za barbarzyńskie w naszym cywilizowanym świecie, kiedy to młodzi ludzie okładali idącego spokojnie Afrykańczyka, czy innego człowieka o różnym od białego kolorze skóry. Zdarzały się także mniej drastyczne, lecz równie niemiłe sytuacje, kiedy kolporter rozdający mijającym go przechodniom darmowe gazetki o tematyce narodowo-patriotycznej, ostentacyjnie cofał rękę, gdy zbliżał się do niego kolega mojego brata o czekoladowym kolorze skóry. Nie interesowało go, że urodził się w Polsce, ma mamę Polkę i polskie obywatelstwo; ważny był tylko nieszczęsny kolor skóry.

Z czasem zauważyłam, że „inność” dostrzegana także na zupełnie prozaicznych płaszczyznach, i że sama ta innością także została naznaczona. W wieku gimnazjalno-licealnym, jak większość młodzieży, należałam do pewnej subkultury. Wizualnie sprowadzało się to do noszenia charakterystycznych butów i zdecydowanej preferencji wobec jednego koloru przy wyborze ubrania; hobbystycznie – do słuchania konkretnego typu muzyki; mentalnie byłam zagorzałą pacyfistką i normalną, wesołą nastolatką. Zawsze wydawało mi się to normalnym zachowaniem, gdyż człowiek, jako zwierzę stadne, tworzy grupy podobnych sobie, tam czuje się bezpiecznie, różnie. Wielu ludzi widziało we mnie jednak wyznawczynię wszelkiego zła, składającą krwawe ofiary na ołtarzu, osobę, która z całą pewnością jest uzależniona od środków odurzających lub, w najlepszym przypadku, wandala niszczącego miejscowe cmentarze. Populame było także określenie „brudas”, choć nigdy nie miałam proble-



mów z higieną osobistą i nie zauważyłam, by ktokolwiek z moich znajomych miał z tym problem większy niż reszta społeczeństwa. Okazało się, że charakterystyczny wygląd wystarczał, by niejednokrotnie spotkać się z nieprzyjemnymi zachowaniami, agresją, czy zostać wpisany na czarną listę trudnej, potrzebującej resocjalizacji duchowej młodzieży w skórzonym notesie księdza proboszcza.

Przyglądając się uważnie otaczającym mnie ludziom spostrzegłam, że „innych” jest jeszcze więcej. Niektórych można było rozróżnić na pierwszy rzut oka, np. nie posiadali markowych ubrań, byli biedni, byli upośledzeni, kalecy, mieli krzywe zęby, nadwagę czy zeza. Byli też tacy, którym należało się przyjrzeć dokładniej, by ich inność odkryć. Jedni uczyli się bardzo dobrze – kujoni, drudzy bardzo źle – idioci, kolejni utykali lekko na prawą nogę, ale tylko przy wchodzeniu po schodach. Oni wszyscy byli winni bycia „innymi”.

Nie mogłam zrozumieć, skąd nagle utworzyło się tyle inności i tak naprawdę względem czego „normalnego” były ustanowione. Murzyn był inny, czarny, bo ja byłam biała: proste wizualne porównanie dziecka. Ale w mikrosocjetywie, jakim była klasa, otyli byli inni, bo było ich tylko dwoje – czy w klasie z tylko dwiema osobami chudymi to one byłyby inne? Kiedy inność przestała być „fajna”, i czemu ludzie nie chcą za moim przykładem z lat dziecięcych zadać pytania, czy poznać bliżej coś, co jest dla nich niespotykane, a wręcz przeciwnie, zwykle chcą to zniszczyć lub odepchnąć od siebie na bezpieczną odległość. W którym momencie w człowieku rodzi się chroniczny lęk, agre-

sja i potrzeba napiętnowania tego, co mu niepodobne?

Jeśli założymy, że dziecko jest wolne od takich uprzedzeń, to przecież logika wskazuje, że z wiekiem, nabywając wiedzy i doświadczenia, człowiek dorosły powinien zrozumieć podłoże bezwiednego zachowania dziecka. Powinien w pełni świadomie rozwijać chęć poznania jakże wielu otaczających go inności, by nareszcie zrozumiał, że to nie jest to, co inne? Czy jak jednolite stado „zadziobimy” wszystkie malowane ptaki?

Dziś już nie pokazuję palcem ludzi, którzy różnią się ode mnie. Czasem myślę, że jest to wynik przyzwyczajenia, że kampanie protolerancyjne zrobiły swoje, czasem, że zubożyłam na przesycenie innością społeczeństwo. Niekiedy obawiam się też, że porwała mnie „trendy” fala szumnie propagowana hasłem „Nie toleruję nietolerancji”, lub że wszystko, co robię, to farsa, a wzrok odwracam ze strachu lub wstydu, bo nie wiem jak się zachować. Dziś patrzę karcącym spojrzeniem na tych, którzy oglądają się na ulicy, śmieją się, czy wygłaszają niewybredne komentarze w kierunku „innych”. Dziś wiem, że to w dużej mierze dzięki mamie. Mam także nadzieję, że w tym co robię i myślę nie ma hipokryzji, i że sama nie ulepiłam, z gliny strachu i nienawiści, wielu „innych” z ludzi, którzy stanęli na mojej drodze w życiu.

